№ 7.

Warszawa, dnia 6/18 Lutego 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — **Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować.** — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

Przygody Krzysztofa na Arciszewie Arciszewskiego.

I.

Anty-Trynitarze, Krzysztof Radziwiłł, zemsta.

Socynijanie zwani inaczéj Anty-Trynitarzami, Arjanami, Unitarjuszami lub braćmi Polskiemi, stanowili sektę religijną, która w reformacji jaka zaprzątała całą Europę w wieku XV, prześcignęła inne i za zasadę wzięła naukę Ewangielji, odrzucając wszystko co tylko się w Biblji nie mieściło. Prześladowani zarówno przez gorliwych katolików jak przez głośnych ówczasowych reformatorów, rozpraszali się po różnych kątach ziemi, narażając się na rozliczne prześladowania. Po ścięciu Ludwika Hetzera w Konstancji i spaleniu Michała Serveta w Hiszpanji, pierwszym z Anty-Trynitarzy co zajrzał do Polski i zaczął szerzyć nowe wyobrażenia, był Jan Walenty Gentile, wygnany poprzednio ze Szwajcarji, a późniéj ścięty w Bernie za przekroczenie wyroku, wzbraniającego mu wstępu na ziemię ojczystą. Późniéj przybył Lelio Socino z Sienny, i widać że do pracy zabrał się z wielką gorliwością, kiedy potrafił namówić do swych zasad przełożonego Franciszkanów Lismaninięgo z Korfu i zarazem spowiednika królowéj Bony. Czy to co oddziałało na serce żelazne twardéj téj kobiéty, nie wiadomo, patrzono jednak przez szpary, i sekciarzów zostawiono w pokoju, co tak ich ośmieliło, że założyli główne siedlisko w Pinczowie i Rakowie i nawet w ostatniém tém mieście wydrukowali swój katechizm a późniéj własny przekład Nowego Testamentu.

Nazwisko Socynijanów nadane im zostało od dwóch Socynów Lelji i synowca jego Fausta męża wielkiéj nauki, wymowy i obejściem pełném słodyczy i uprzejmości, umiejącego szczególniéj zyskiwać zwolenników.

Jednym z gorliwszych Socynijanów był Eljasz Ar-

ciszewski w Rogalinie wiosce położonéj w dawnéj Wielkopolsce, którego syn Krzysztof, rozumem, walecznością i energją, dał się poznać w cudzoziemskich krajach, i imię swe ozdobione sławą, podał do pamięci potomnych. Urodzony w roku 1593, po ukończeniu nauk, oddany został zwyczajem ówczesnym na dwór Krzysztofa Radziwiłła hetmana polnego Litewskiego księcia na Birżach i Dubinkach, pana na Indurze, który opieką nauk, ludzkością, uprzejmością i gorliwą obroną wszystkich różnowierców, pomimo wyznania kalwińskiego, coraz większy w narodzie zyskiwał szacunek i poważanie. Młody Arciszewski bystrością umysłu, wprędce zaskarbił sobie łaski tak znakomitego męża, i rozwijając się daléj pod jego okiem, miał nieraz sposobność okazania zdatności i rycerskiego usposobienia, wyróżniających go z pomiędzy młodzieży dworu tego magnata.

Kiedy po klęsce pod Cecorą, cała potęga państwa Tureckiego zagroziła starożytnéj Polsce, z drugiéj strony Gustaw Adolf król Szwedzki najechał Inflanty, ofiarując w wynagrodzeniu Estonją i wieczysty pokój za zrzeczenie się przez Zygmunta III praw do korony Szwedzkiéj. Ofiara była bardzo korzystną i wielu domagało się jéj przyjęcia, ale dom rakuzki pragnąc zaprzątnąć Gustawa Adolfa wojną, aby mu tym sposobem odjąć możność wmięszania się w zatargi w Niemczech praktykowane, odradził przyjęcie podawanych warunków. Nie mogąc się zatem Gustaw doczekać odpowiedzi, bez wypowiedzenia wojny na czele 24,000 zbrojnych wkroczył do Inflant i po niedługim oporze opanował Rygę i zajął Dyament.

Wachający się dotąd Zygmunt, w wyborze dowódzcy, acz z wielką niechęcią, obronę Inflant powierzył Krzysztofowi Radziwiłłowi w Listopadzie roku 1620. Było to bardzo nie na rękę, dla doświadczonego wojownika, odebrawszy więc polecenie królewskie, kazał pokojowcowi przywołać pana Krzysztofa Arciszewskiego, liczącego podówczas lat 27 wieku, gdy sam hetman dopiero trzeci krzyżyk żywota ukończył.

— „Musisz waszmość przygotować się do drogi,“ rzekł Radziwiłł lekkiem skinieniem głowy odpowiadając na ukłon ulubionego przez siebie młodsieńca „król miłościwie nam panujący polecił mi obronę Inflant, a pana Chodkiewicza wysłał na Turki, jakby moja szabla za lekką była dla karku pogańskiego. Ale wolę królewską należy szanować, a choć twarda to sprawa, chociaż mocne i ostre zęby należy mieć do jéj zgryzienia dla niechęci i niezgody panów Inflandzkich, pójdę jednak chętnie za głosem obowiązku i powinności. Waszmość więc bądź gotów i jak tylko nadejdą listy przepowiednie do spisywania wojska, ruszysz natychmiast między swych braci Wielkopolanów. Pan Chodkiewicz stary i doświadczony wódz, dwa razy letniejszy odemnie, ale i młoda głowa nie zawsze pustkami trąci, i młode serce prędzéj za gorącość na przygane zasługuje, jak za lód i sobkostwo. I cóż ty na to panie Krzysztofie? Cieszysz się z wojenki, która jak białogłowa, wabi cię uśmiechem i nadzieją sławy?“

— „Wojna jaśnie wielmożny hetmanie, odrzekł śmiało Arciszewski, przystoi rycerskiemu rzemiosłu i lichy to żołnierz co jéj nie pragnie. Ja ćwiczyłem się w chorągwiach Waszéj miłości i pod jego dowództwem, umiem więc tylko z wojny cieszyć się a nie smucić. Co do ostrych zębów tych nam nie braknie, i jakoś poradziémy sobie. Pan Chodkiewicz wojownik znakomity, ale słońce jego życia już wisi nad zachodem...“

— „Niechże świeci jak najdłużéj“ przerwał hetman, „bo w sądach ludzkich prywata zawsze stać powinna na boku. Co prawda pan Chodkiewicz nie może zapomnieć brata mego Janusza, co należał do sprawy Zebrzydowskiego: Ksiądz Skarga jęczy i wzdycha nad moją zatwardziałością, król jegomość podejrzywa mój ród starożytny, dostatki i przyjaźnie zagraniczne, ale mojaż to wina, żem się nie urodził chudym pachołkiem i wyrosłem w innym obyczaju jak drudzy?

Waść więc mości Arciszewski przyszykuj manatki, i jak tylko nadejdą królewskie listy przepowiednie, zaraz ruszysz w drogę. Ale czekającemu w pilnéj sprawie, zawsze czas się bardzo dłuży, kancelarja zaś królewska niepochopna do pośpiechu, i może każe nam czekać do przyszłego roku.“

Zgadł hetman, listy bowiem spodziewane upoważniające do spisywania wojska nadeszły dopiéro w roku przyszłym w Czerwcu. Co więc było zdatniejszego żołnierza zabrał Chodkiewicz, a Radziwiłł zaledwie ze szczupłą garstką rycerstwa poszedł przeciw Gustawowi. Nie mogąc się oprzeć zbyt przeważającym siłom, hetman ograniczył działanie swoje głównie na odporze i rokowaniu o pokój. Arciszewski towarzysząc w téj wyprawie, i posiadając już wielkie zaufanie hetmana, obok zawiadywania służbą policji wojskowéj w obozie, powierzane miał sobie najdrażliwsze polecenia w układach o pokój ze Szwedami, o czém bardzo często Radziwiłł w listach swoich wzmiankuje. Kiedy wreszcie zima i choroby zmusiły Gustawa do odwrotu, i tym sposobem kampanja ukończoną została, Arciszewski wrócił w rodzinne strony aby podzielić boleść rodziny, opłakującéj stratę całego mienia.

Ojciec bowiem zmuszony interesami sprzedał część dziedzicznego miasta Szmigla bogatemu adwokatowi niejakiemu Kasprowi Brzeźnickiemu, człowiekowi bardzo zręcznemu i chciwemu zarazem. Sprzedaż do-

pełnioną została z zachowaniem wszelkich formalności prawnych w grodzie sądowym, należytości jednak całkowitéj kupujący nie wypłacił, tylko się z obowiązał tajnym układem i przysięgą resztę szacunku, dostarczyć na każde żądanie przedających i zrobić ich testamentowemi spadkobiercami całego posiadanego mienia. Gdy wypłaty zażądano, Brzeźnicki zaparł i niechciał zobowiązania dopełnić, a w wywiązanéj ztąd sprawie tak się umiał w trybunale Piotrkowskim wykręcać, że po dziewięcioletniem procesowaniu się, wygrał ją przywodząc tem samem Arciszewskich do zupełnego ubóstwa.

Ojciec Krzysztofa wyzuty ze wszystkiego, wpadł w rozpacz, obrzucając przekleństwem prawnika, a synowie przekonawszy się, że sprawa stanowczo ukończoną została, że wszelkie drogi do odzyskania utraconego majątku są zamknięte, postanowili musem odzyskać to, czego w inny sposób dokonać nie zdołali. Zaczaiwszy się więc na drodze, napadli na przejeżdżającego Brzeźnickiego, a nie mogąc go skłonić do wydania pieniędzy w powstałéj z tąd kłótni zamordowali. Była to zbrodnia zarówno dziś jak wówczas surowo karana, ale wyobrażenia tamtowieczne, jeszcze nie stały na stanowisku bezwarunkowego szanowania prawa, w którém jedynie poszukiwanie sprawiedliwości uznaném jest za godziwe i uzasadnione. W opinji więc publicznéj wiele mogli spodziewać się pobłażania, a mało wyrzutów we własnem sumieniu, i czyn swój przestępcy, więcéj uznawali hazardownym jak zbrodniczym. Mimo tego, kary należało się lękać, cichaczem zatem Arciszewski, stawił się przed swym opiekunem hetmanem Krzysztofem Radziwiłłem i opowiedziawszy mu rzecz całą, oświadczył, że postanowił udać się za granicę i w wojskowéj służbie szukać daléj polepszenia swego losu. Hetman na wiadomość tak niespodziewaną, obruszył się niewymownie, porywczość zganił, zagroził karą Bożą, ale uspokoiwszy się, oświadczył Arciszewskiemu, że zamysł pochwala, i w końcu dodał:

— „O stałym dla waści zasiłku pieniężnym pomyślę, a jako człowiekowi rozumnemu i obrotnemu, polecam przyglądanie się pilne sprawom zagranicznym i wierne mi ich doniesienie. Dwór francuzki to szkoła polerunku, a kardynał Richelieu zręczny i pełen rozumu człowiek. Jeżeli waść zbliżysz się do dworu i zasłużysz na weneracją, to donieś mi o księciu Orleańskim Gastonie bracie króla Francuzkiego. Kto wié jakie przyszłe losy go czekają... a może i korona,“ dodał ciszéj jakby do siebie a potem wpatrując się w młodzieńca domówił znacząco:

— „W takich razach usługi nie przechodzą bez wdzięczności, ale roztropność powinna im przewodniczyć. Sekretarz mój Kochlewski obszerniéj waści objaśni, a nie zapominaj, że pobożne słowa nie tylko przy majestacie króla Zygmunta są zwykłą osłoną własnego interesu, i we Francji umieją niemi szastać, a nawet lepiéj jak u nas.“

Radziwiłł jako innowierca, doznając różnych przeciwności w stosunkach z królem Zygmuntem III znanym z fanatyzmu i powolności na podszepty Jezuitów, był wielkim stronnikiem partji myślącéj o osadzeniu Gastona księcia Orleańskiego na tronie po śmierci Zygmunta. Dokładne więc wiadomości o czynnościach za granicą były mu bardzo pożądane, i dla tego Arciszewskiego jako znanego sobie dobrze z nauki i roztropności, przy wyjeździe z kraju, wziął w troskliwą opiekę, w téj pewności, że w nim znajdzie wielką pomoc, dla tajemnych przez siebie zamiarów.

(d. c. n)

---

* * *

Siarczysty mróz i wyborna sanna, codzień prawie zasilana nową z nieba posypką, są to cechy tegoroczněj Lutowéj zimy, zmiennéj w Grudniu a w Styczniu ciepłéj, deszczowéj i mało śnieżnéj. Gdybym uniesiony poetycznym zapałem, chciał przedstawić gadulstwo chrupoczącego śniegu, swarliwy szczebiot brzęczących sani, pośpiech przechodniów, ruchliwość oddechowéj pary, i rozmaitość rysunku na zamrożonych szybach, dałbym Wam pogadankę, niézmiernie oryginalną, słodko pieprzną, ale... i nudną zarazem. Więc na bok odsuwam te niewdzięczne materjały, strącając je w przepaść... zapomnienia.

W dziedzinie brukowo-domowych wiadomości powiadają, że niektóre nasze wykwintnisie i modnisie, suszą niezmiernie główki, nad wprowadzeniem mody, farbowania włosów na rudo, i nabraniem postaci sielankowo sentymentalnych, przez sztuczne obchudnięcie. Paryż jak zwykle jest tu wzorem, szalejący obecnie za czerwonym kolorem, i rozsławiający jakiegoś Anglika leczącego na otyłość. Za Ludwika XV książe Berry na same peruki z blond włosów wydawał rocznie 8000 franków, a markiza de Matignon miała na dworskim balu, ubranie głowy *à la jardinière*, to jest serwetę szarą z czerwonym brzegiem przypiętą na włosach, w któréj fryzjer artystycznie pomieścił, karczoch, kalafior, marchew, kartofel, parę rzodkiewek i kilka kapuścianych liści. Zobaczywszy to Karolina Lameth, bogata i piękna kreolka, z zazdrości pokraśniała wołając:

— „Nie chcę nic innego nosić jak legominy, bo

to ubranie bardzo skromne i więcéj naturalne jak kwiaty.“

I póty się dąsała, skubała bogate koronki i tupała nóżkami zamykając uszy na wszelkie przedstawienia, aż stało się według jéj woli. Były więc mody bardzo dziwaczne, nigdy jednak do takiéj jak dziś ekscentryczności nie dochodziły.

Powiadają także, że młode Warszawianki zaczynają coś gwarzyć o nauce medycyny i składaniu kwartetów muzycznych, na wzór Ameryki liczącéj już 256 lekarzy płci żeńskiéj, i kobiét w Paryżu wchodzących w skład orkiestry niektórych teatrów Francuzkich. Mówią wreszcie, że w niektórych miejscowościach na prowincji, panienki przyjęły bardzo do serca, radę moją wzięcia pod opiekę pszczół, ogrodów i mlecznego gospodarstwa. Jeżeli wieści te sprawdzą się, będzie to strasznie piołunowa przymówka, dla owéj próżniaczéj młodzieży, wałęsającéj się jeszcze po Warszawie, bez celu i żadnego zajęcia się, na własne pohańbienie.

Chciałbym jednak paniczów owych, choć raz zaprowadzić do szkółek w Warszawie tak zwanych żeńskich, w których co Niedziela roi się przeszło dwa tysiące kobiét ze stanu wyrobniczego i służebnego, zajętych nauką czytania, pisania i rachunku. Gdyby zobaczyli pilność, chęć i usilność tych dorosłych uczennic, ślęczących nad elementarzem lub kajetem; gorliwość zacnych nauczycielek i wreszcie zapał szlachetny ożywiający zarówno uczących się jak przewodniczki, możeby zrozumieli raz przecie, jakim sposobem ludzie z nędzy przychodzą do pieniędzy a z pieniędzy do nędzy. Drugim faktem równie pięknym, nie wspomnianym jeszcze w moich pogadankach jest wybudowanie przez panów Temler i Szwede właścicieli trzech garbarni, domu przy ulicy Gęsiéj, z wyłącznem przeznaczeniem na tanie i wygodne mieszkanie dla rzemieślników, pracujących w ich zakładach. Wszystkie mieszkania są obliczone tylko na 3°/₀, co tak obniżyło zwykle drogie w Warszawie komorne, że z jednego pokoiku najniższa opłata wynosi tygodniowo złp. 2. Przytem są ciepłe widne, wygodne i zdrowe, przymioty rzadko u nas razem praktykowane. Żeby zaś mieszkańcom zajętym całodzienną pracą w fabrykach, ułatwić opiekę nad dziećmi, właściciele przeznaczyli trzy pokoje z kuchnią na założenie Ochrony, z obowiązali się do sprawienia potrzebnych do niéj sprzętów, zakupienia książek do Czytelni i uprosili Towarzystwo Dobroczynności do zaprowadzenia powyższéj instytucji. Urządzić się wreszcie mający ogród, zapewni wszystkim przyjemną przechadzkę i miły po pracy spoczynek.

Czyn to jest tak szlachetny, że sam starczy za najpiękniejsze i najbardziéj pochwalne opisy, tym więcéj zasługujący na uznanie, że dopełniony został cicho, spokojnie, bez poprzednich trąbień gazeciarskich, bez przechwałek, bez rozgłosu, którémi wielu potrafi robić wiele szumu i hałasu, wrzasku i tartasu, szasta się i kręci.., i na tem kończy wszystko. Oby więc zacni panowie Temler i Szwede, znaleźli jak najwięcéj naśladowców, zarówno w myśli poczciwéj jak i w sposobie jéj przeprowadzenia.

W Liliany Korerrespondenji, pomieszczonéj w przedostatniéj pogadance, oświadczyła autorka, iż nie słyszała nigdy o rzeźbiarzu znakomitym w Kunowie, któryby pochodził z téj kamieniarskiéj ubogiéj osady. O jednym właśnie z takich, uczony nasz archeolog F. M. Sobieszczański, w opisie swoim wycieczki w Sandomierskie, pisze co następuję:

W Kunowie, w samym końcu rynku, stoi chata nieco od innych porządniejsza: tam mieszka dziecko Kunowa, Jan Duchnowski. Ojciec jego był jak wszyscy inni Kamieniarzem, lecz w młodzieńcu wcześnie do młota i dłuta użytym zaświeciła myśl, iż na świecie więcéj czegóś nauczyć się można, i tak długo niepokoił rodziców iż nareszcie zgodzili się posłać go do Warszawy. W Warszawie uczył się pilnie u Pawła Malińskiego i odgadł znowu, że trzeba mu jeszcze gdzieindziéj po naukę bieżyć. Wziął więc tłumoczek na plecy i ze szczupłym zasobem krwawo zapracowanego grosza, z odwagą i nadzieją w sercu poszedł za granicę.

W Wrocławiu uczył się w akademji, pracował w Dreznie, Berlinie, Hamburgu, a w końcu zaszedł do Monachium i najdłużéj tam pozostał. Budowano wtedy sławną Walhallę; potrzeba więc było robotników, a rzeźbiarzy przedewszystkiem; nasz Duchnowski zatem prędko został przyjęty i jeszcze prędzéj od innych odróżniony, bo wielki mistrz nowożytnéj rzeźby Schwanthaler prędko sobie upodobał polskiego artystę.... Odtąd najlepsze dzieła powierzano Duchnowskiemu, wzięto go do robót w zamku królewskim wykonywanych co tylko najpiękniejszego i wielkiego Schwanthaler tworzył, brał go do pomocy, chwalił i wszystkim za wzór przedstawiał...

I Niemcy byli z niego kontenci, do pozostania na zawsze namawiali, obietnicami zachęcali; napróżno! bo nagle owładnęła naszego artystę tęsknota za błotami Kunowa; ścisnęło mu się serce i dłuto z rąk wypadło. Nie było rady, i opatrzony najchlubniejszemi świadectwami do chaty ojców swych wrócił. Starzy rodzice oddali mu domek i rolę, a Duchnowski pojąwszy za żonę hożą tutejszą mieszczankę, z zapałem i nadzieją wziął się znowu do roboty i z Kunowskiego kamienia prześliczne zaczął tworzyć dzieła. Lecz cóż, kiedy nie było komu je kupić, a tymbardziéj ocenić. Tymczasem Bóg dał dzieci, a skoro za niemi zawitał niedostatek, celujący uczeń Schwan-

thalera aby na kawałek chleba zarobić, zmuszony był ciosać proste płyty kamienne. Ciężka robota w krótce wyczerpała siły, choroba i niedostatek zwiększyły się, a nędza straszliwa osiadła w domku artysty.

W takim stanie, powiada p. Sobieszczański, zastałem najlepszego kamieniarza w Kunowie. Tylko co był powstał z choroby; chwiejąc się na osłabionych nogach, z żółtą wychudłą twarzą z przyćmionemi i zapadłemi oczyma, przywitał nas ze smutkiem, i z trudnością na zapytania odpowiadał..."

Działo się to w roku 1851 we Wrześniu, a w krótce potem w rok czy we dwa lata, na cmentarzu Kunowskim stanęła nowa mogiła, kryjąca zwłoki artysty, tak strasznie pasującego się z przeciwnościami życia.

Hyères 5 Lutego 1865 r.

Dziewiętnaście tylko godzin oddziela Hyères od Paryża, gdy jedziemy spiesznym pociągiem, i nie zatrzymujemy się nigdzie po drodze, ale jakaż to niesłychana różnica w atmosferze i wegetacji! Tam grube mgły, śniegi, i szrony, tu jasne słońce najczystszy błękit nieba, słowem wiosenne ciepło, ochłodzone lekkim morskim powiewem. Tam na bulwarach i w ogrodach drzewa wyciągają w górę smutno, czarne i bezlistne konary, tu zielenią się palmy, aloesy i magnolje; pomarańcze przyświecają złotym owocem, z pośród liści; żywopłotki z kwitnących róż otaczają każdy ogródek. Tak odmienna wegetacja, nadaje też zakątkowi temu, charakter zupełnie odmienny, od północnéj Francji, a cóż dopiero od kraju naszego? Wszystko też tu jakoś inaczéj, jedne tylko cyprysy rozrzucone po ogrodach, przypominają kształtem nasze topole, a drzewa oliwne zaściełające okoliczne wzgórza, z liściem białawo-srebrnym, podobne tak z barwy jak i z kształtu, do pewnéj odmiany naszéj wierzby.

Miasteczko Hyères zasłonięte pasmem wysokich wzgórków, które stanowią część podgórzy Alpejskich *(Alpes Martitimes)*, otulone niemi od północy, wschodu i zachodu, otwarte tylko od południa, jest we Francji jedyną może oazą w któréj rosną pod gołem niebem Afrykańskie drzewa i krzewy; ztąd podróżni przyznają miejscu temu prawdziwie Maurytański pozór, przypominający wybrzeża Algerji. Najwięcéj do tego przyczyniają się wspaniałe drzewa palmowe, które jak pęki ogromnych parasoli, zdobią obszerny plac, wystawiony na największe działanie słonecznych promieni.

Miasto dzieli się na dwie osobne części. Jedna część zajęta wyłącznie przez miejscowych mieszkańców, skupiona jest ciasno, na prostopadłéj prawie pochyłości góry. Uliczki tu tak wązkie, że dwie osoby idące obok, zapełniają całą ich przestrzeń. Z jednéj uliczki na drugą trzeba się wdzierać po ciasnych, wykutych w skale wschodach lub przebywać ciemne sklepione bramy. Całe miasto jak widać, opasane było niegdyś obronnym murem, a każdy niemal dom stanowił osobną fortecę. Wyborny to zabytek średnich wieków, prawdziwa skarbnica dla badań archeologicznych. Jakby koronę miasta, tworzą gruzy odwiecznego zamczyska, które wieńczą stromy wierzchołek góry, i panują nad całą okolicą. Zbudowany w miejscu dzikiém i niedostępném, opasany basztami i fossami, ów zamek był niegdyś bezpieczną ostoją, przeciwko napadom Saracenów, którzy pustoszyli te wybrzeża, i zdołali nawet opanować pobliskie wyspy Hyères.

W skutek niedostępnego położenia, gród ten był w ciągu średnich wieków, ciągłym ogniskiem wojen domowych. Feudalni jego komesowie, od X wieku dzierżyli władzę czując jednak że nikt im nie podoła, z wasalów stali się wszechwładnemi panami, i przez dwa wieki krwawo bronili praw niepodległości, którą potrafili utrzymać. W XIII dopiero wieku, Karol d'Anjou, hrabia Prowancji, zdobył szturmem zamek, i przyłączył miasto Hyères do swojéj dzielnicy. Znać rządy jego przypadły do smaku Hyerczykom, i przyczyniły się do ich pomyślności, skoro w późniejszym czasie zbudowali Karolowi pomnik który przetrwał do dziś dnia. Zamek Hyèrski pozostał w stanie obronnym, aż do czasu wojny domowéj za Henryka IV, wówczas obrócono go w gruzy, z których więcéj nie powstał.

W środku starego miasta pozostały dwa starożytne pomniki z dawnych czasów, naprzód mury odwiecznego klasztoru Templarjuszów, zamienione dziś w Ratusz, i Kościół Ś. Pawła, zbudowany jak mówi podanie, na gruzach pogańskiéj świątyni Bachusa, o czem świadczą dotąd winne liście, wykute w kamieniu na kapetelach.

Z placu przed kościołem, prześliczny roztacza się widok. Od północy sterczą rozwaliny zamku, poniżéj miasto zaściela malowniczo pochyłość góry. Na wschód i zachód, ciągną się wieńcem szaro-zielone wzgórza, zarosłe drzewami oliwnemi z pośród których wyglądają tu i owdzie wille z płaskim dachem, w cieniu pomarańczowych drzew i cyprysów. Na najwyższym wzgórzu, sterczą mury kaplicy z wysoką wieżą ofiarowanéj Boga Rodzicy głównéj patronce miejsca.

Od strony południowéj, w dolinie ciągnie się nowe miasto, przeznaczone wyłącznie dla osób podróżnych, szukających tu światła i ciepła. Tu ulice szerokie, place wysadzane egzotycznemi drzewami. Hotele

i domy piękne, czyste, z oknami zwróconemi na południe, opasane wiankiem kwitnących ogrodów. Daléj o pół mili oddalenia, połyskują na słońcu, wspaniałe fale morza Środziemnego, a daléj jeszcze, sterczą skaliste brzegi wysp Hyèrskich. Za pomocą szkła, dopatrzyć nawet można, na tle widnokręgu, wybrzeża korsykańskie.

Nowe miasto ma téż oddzielny swój kościół, który należał do klasztoru Bernardynów, istniejącego tu do czasów rewolucji 1789 roku. Poświęcono ten kościół świętemu Ludwikowi, na pamiątkę wypadku, z którego dotąd chlubi się miasto Hyères.

Było to 12 Lipca 1254, w piękny letni poranek, za czasów pamiętnéj krucjaty, któréj przewodniczył święty Ludwik król Francji. Nagle flota ukazała się na morzu, i szmer rozległ się w mieście, że krzyżowcy wracają z wyprawy. Jakoż liczné okręta wpłynęły do Portu, i zarzucono kotwicę. Hyèrczycy dowiadują się, że na jednym okręcie jest król Ludwik IX, rodzony brat hrabiego Prowancji, słynny z świętobliwości, i rycerskich na Wschodzie przygód. Zapał ogarnia miasto, lud zatyka chorągiew Francji, na najwyższéj baszcie zamkowéj; dzwony kościołów biją na gwałt, duchowieństwo przybrane w złotolite kapy z krzyżem w ręku wychodzi ku morzu, na przyjęcie świętego króla. Wszyscy Mieszkańcy miasta towarzyszą im z głośnemi okrzykami radości, kapłani ze czcią przystępują do króla, roztaczają baldachim nad głową jego; lecz król usuwa się pokornie. „Taka cześć, mówi, przystaje tylko Bogu, jedynemu Panu Wszech świata.“ To rzekłszy postępuje zwolna za baldachimem, z królową i trojgiem drobnych dziatek, w orszaku rycerstwa i ludu. Zaszedłszy przed kościół Bernadynów, król wstępuje pobożnie w jego progi, słucha mszy, przyjmuje kommunię świętą, dziękując Bogu, że tak szczęśliwie przywiódł go na stały ląd Europy, po tylu niebezpiecznych przygodach.

Z kościoła Ludwik święty udał się na zamek, gdzie odpoczął kilka dni w domu brata.

Przygodę tę tak opisuje sławny kronikarz Joinville, który pozostawił wierny opis téj krucjaty, jako na oczny jéj świadek. Obraz przechowany dotąd, w kościele Ś. Ludwika, przedstawia tę chwilę, tak pamiętną w rocznikach miasta Hyères.

Córka Ludwika świętego Izabella, wiedziona zapewne wspomnieniem z lat dziecinnych, tak sobie upodobała to miejsce, że po śmierci rodziców i ukochanego małżonka swego Tibolda hrabiego Szampanji postanowiwszy przeżyć resztę dni w samotności, obrała jednę z wysp *Złotych* czyli Hyèrskich, i tam przetrwała do śmierci na modlitwie, opłakując smutne sieroctwo.

W parę wieków potem, osiadł tam pobożny pustelnik, którego przezwano *mężem z wysp Złotych*. Nieszczęśliwa miłość, oderwała go od świata, a przywiodła do życia samotnego. Był to słynny Trubadur swego czasu, jeden z tych błędnych rycerzy, poetów, których tylu wydała Prowancja. Został po nim znaczny zbiór pieśni w języku Langwedockim, i wiele ciekawych powieści, malujących wiernie wiek współczesny.

Hyères oprócz tego szczyci się, iż jest kolebką dwóch innych sławnych Trubadurów, Wilhelma i Raimbolda, którzy pieśniami swemi, ożywiali dwory królów i książąt. Nic dziwnego, że cudna przyroda tych miejsc rozbudziła w nich ducha poetycznego, w czasach gdy wszyscy Prowansale, byli poetami, lub przynajmniéj zapalonemi czcicielami poetów.

Duch rycerski po dziś dzień, przechował się w tem mieście. Hyèrczycy nie przepomnieli dotąd, że są potomkami owych błędnych rycerzy, którzy za cześć niewiasty, kruszyli kopije na turniejach i krwią przypłacali jéj honor. Zdarzona w tych dniach okoliczność, przekonała mnie o tém.

(d. n.)

Nie wierz poecie!

Nie wierz poecie kiedy się żali
Na świat, albo ród niewieści,
Nie wierz gdy powie:
„Serce ze stali,

To puklerz dla mych boleści,“
Nie wierz gdy mówi: „moją podporą
Rozczarowanie, niewiara...“
Bo sam za chwilę wyzna z pokorą,
Że słodka życia jest czara.

Gdy dom, rodzina, żona kochana
W tkliwe go ujmą objęcia,
Wówczas poety dusza znękana,
Marzy, marzeniem dziecięcia.

I znów mu błogo, dobrze na świecie,
I kocha jeszcze gorącéj;
Więc gdy się żali, nie wierz poecie,
To tylko kaprys, nic więcéj!

Ziemisław Szczery.

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 10 Lutego 1865 r.

W ubraniu Paryżanek, co szczególniéj podziwiać należy, to ów takt z jakim umieją zastosować ubra-

nie, odpowiednio do miejsca i okoliczności. Uwaga ta nasuwała nam się nie raz w kościele, dokąd przybierają się w sposób nadzwyczaj skromny i przyzwoity. Niewidzieliśmy nigdy podczas nabożeństwa, owych strojów bijących w oczy, i zwracających powszechną uwagę, owych kwiatów i jaskrawych piór na kapeluszu, owych złotych i błyskotliwych ozdób, owych sukien powłóczystych i zbyt szerokich, w wielkie desenie albo pasy, jakich używają na wizyty i na teatr. W kościele każda Francuzka, ma sobie za obowiązek, dla poszanowania miejsca świętego być ubraną przyzwoicie i czysto; lecz obok tego unika wszelkiéj przesady. Suknia ich najczęściéj bywa jedwabna (gdyż w Paryżu materja jedwabna nie więcéj kosztuje od wełnianéj w dobrym gatunku). Kolor sukni zazwyczaj czarny, lub bardzo ciemny, w drobną kratkę lub niewydatny rzucik. Paletocik sukienny albo jedwabny, stosownie do pory, niekiedy szal Turecki lub Francuzki. Kapelusz zwykle skromny, jedwabny lub słomkowy, bez kwiatów, przysłonięty woalką koronkową dopełniają ubrania. Słowem ubiór kobiét w zupełnéj jest harmonji z powagą miejsca poświęconego Bogu.

Na ulicę także, kobiéta dobrze wychowana ubliżyłaby sama sobie, gdyby przesadzonym strojem zwracać miała uwagę przechodzących. Suknia też wełniana brązowa, popielata lub czarna, podniesiona na wełnianéj spódniczce, z szlakiem lub falbankami, do tego szal, lub sukienny paletocik, kapelusz jak najskromniejszy, zwykle czarny stanowią codzienną odzież najwytworniejszych nawet elegantek Paryzkich. Cała ich staranność, zwrócona na zgrabne buciki, i piękne rękawiczki.

Młode panienki do lat dwudziestu, ubierają się w Paryżu z nadzwyczajną prostotą, pełnoletnie tylko panny i mężatki, pozwalają sobie zazwyczaj większych zbytków. Suknia panienek zawsze bywa z lekkiéj tkaniny wełnianéj, przerabianéj jedwabiem. Na wizyty lub na obiad proszony, kładą sukienkę czarną jedwabną, naszywaną u dołu kilkoma rzędami aksamitki, albo bez żadnego garnirunku, ozdobioną tylko na zszyciu brytów, wypustkami z kolorowéj materji. Z wełnianych wyrobów, najwięcéj używana dla panien, gładka popelina, w kolorze fijołkowym, ciemnoszafirowym, popielatym, lub szarym w rozmaitych odcieniach, oraz inna tkanina zwana *argentine*, w tychże kolorach, mieniona z czarnym, i przybrana czarną aksamitką, lub aksamitną wypustką między brytami. Do tych ostatnich sukien, dodają niekiedy takiż sam paletocik, objęty również aksamitką, i spięty na aksamitne guziczki. Częściéj jednak paletocik bywa sukienny w stalowym lub granatowym kolorze.

Kapelusze dla panienek na ulicę robią zwykle naciągane z *poult de soie* w kolorze fijołkowym lub szafirowym, przybrane pluszem alko aksamitem tegoż samego koloru, podpięte drobnemi kwiatkami. Wiele także daje się widzieć czarnych mantynowych kapotek, przystrojonych takąż aksamitką z różowemi kwiatkami nad czołem. Do strojnego ubrania noszą panienki białe kapotki ubrane aksamitem niebieskim, zielonym lub lilla.

Małe dziewczynki ubierają w majtki do kolan, i w wysokie buciki, zakończone w górze kwaścikiem i w sukienki wełniane gładkie lub w drobne paski. Do okrycia dają im rotondę czyli Talmę a najczęściéj paletocik popielaty z grubéj flaneli z długim włosem od spodu. Między innemi uważaliśmy ładne ubranie u dziesięcioletniéj dziewczynki, złożone z sukienki popelinowéj popielatéj, z wązką falbaneczką u dołu. Nad falbanką szły trzy pliski szafirowe jedwabne wązkie na palec. Staniczek wycięty czworograniasto przybrany był podobnemi pliskami. Na wierzch szedł szafirowy wełniany paletocik, spięty na stalowe guziki. Kapelusik okrągły czarny aksamitny, przystrojony czarném piórkiem, dopełniał ubrania.

Sukienki dla dziewczynek, wyszywają też sutaszem odmiennego koloru w Grecki deseń, inne znów obszywają nad obrębem, dwoma kaszmirowemi szlaczkami.

Mniejsze dziewczynki na paletociku przepasują szerokim pasem skórzanym, spiętym na klamrę, co je lepiéj zabezpiecza od zimna.

Dla chłopczyków używane powszechnie kaftaniki i majteczki z czarnego półaksamitu, lub z ciemnego sukienka, wyszyte na szwach czarnym szmuklerskim sznurkiem. U majtek powinny być odpowiednio wyszyte lampasy.

Widzieliśmy też ładne ubranie trzyletniego chłopczyka, złożone z spódniczki tartanowéj w kratę, kaftanika sukiennego czarnego i takiejże kamizeleczki ze srebrnemi kwadratowemi guzikami. Czapeczka czarna szkocka z orlem piórkiem dopełniała ubrania.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Szlak do wyszycia kolorowéj spódnicy sutaszem. Kwadraty w środku naszyte z aksamitu albo materji.

N. 2. Alfabet do znaczenia bielizny.

N. 3. Kołnierzyk płócienny haftowany atłaskiem. Końce równo ścięte obszyć można walansienką na 4 palce szeroką, zostawiwszy resztę kołnierzyka bez obszycia. Przy szmizetce około szyi powinien być gładki pasek na półtora palca szeroki.

N. 4. Mankiet. Przedłużone klapki idą do łokcia.

N. 5. Mankiet z dubeltowego płótna, ze wstawką gipiurową nicianą. Pod wstawką nie powinno byé płótno.

N. 6. Kołnierzyk odpowiedni.

N. 7. Mankiet płócienny wyszyty ściegiem łańcuszkowym czarnym albo pąsowym jedwabiem.

N. 8. Połowa kołnierzyka.

N. 9. Kołnierzyk do ściegu łańcuszkowego innym fasonem.

N. 10. Połowa mankieta.

N. 11. Narożnik do chustki od nosa.

N. 12. Szlak do chustki od nosa.

N. 13. Litery N. H. do znaczenia bielizny stołowéj.

N. 14. B. C.

N. 15. Litery do znaczenia poszewek, prześcieradeł i dużych obrusów.

N. 16. Wstawka do haftu atłaskowego.

N. 17. Deseń do wyszycia bluzek tybetowych czarną włóczką albo jedwabiem.

N. 18 i 19. Szlaki do falbanek albo karczków przy koszulach damskich.

N. 20. Deseń na wstawkę.

N. 21 i 22. Desenie na falbanki lub do innego użytku.

Opis formy stanika do paska i kaptura kapeluszowego.

N. 1. Przednia część stanika gładkiego do paska.

N. 2. Boczek.

N. 3. Połowa pleców.

N. 4. Forma buffy marszczonéj do rękawa, jak wzór wskazuje. Buffa powinna się przymarszczać na wierzchu rękawa paltotowego i naszyć z jednego boku aksamitką i koronką.

N. 5. Wierzchnia część rękawa.

N. 6. Druga część rękawa.

N. 7. Epolet do rękawa paltotowego bez buffy. W takim razie epolet się obszywa aksamitką i koronką albo wstążeczką fałdowaną.

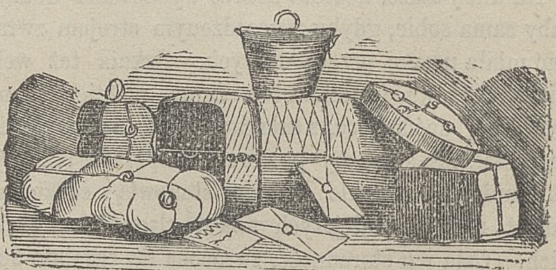
N. 8. Całość stanika gładkiego do paska z rękawem buffowanym. Pasek rypsowy jedwabny kosztuje od 6 do 10 złp. Klamra stalowa od 8 do 20 złp. jeżeli ze stali kameryzowanéj. Złocona od 10 złp. do 20.

N. 9. Rondo do kaptura atłasowego pikowane w kratkę na wacie, obszyte w koło drutem jak kapelusz i objęte skośną pliską.

N. 10. Połowa fanszonika. Chusteczka ta powinna się krajać skośno w całości i pikować w krateczkę na wacie. Do obszycia fanszonika potrzeba frendzli sznelowéj na rękę szeroką ćwierci 5; elastyki która się do tyłu rondka przyszywa i pod włosy zakłada, ćwierć łokcia; aksamitki czarnéj na 2 palce szeroką na kokardy i opasanie gdzie się główka z rondem spaja łokci 5; broszkę czarną lawową do spięcia kokardy z tyłu i łokieć atłasu. Szarfy zastosować trzeba do koloru podpięcia, które najładniéj wygląda z jasno szafirowych pukli aksamitnych nad czołem i z takiego samego obłożenia z boku przy twarzy zamiast blondynki. Obłożenie aksamitne pod spodem ronda daje się w około na 3 palce szerokie. Fanszonik przyfałdowany jest do ronda z wierzchu i opasany w tem miejscu aksamitką.

N. 11. Całość kaptura. Kapturek powyżéj opisany polecamy naszym czytelniczkom jako bardzo zgrabny i wygodny przy noszeniu koków. Formę udzieliła nam pani Mareńska, utrzymująca Magazyn Mód przy ulicy Rymarskiéj. Cena gotowego kaptura wynosi złp. 40 w lepszym gatunku złp. 46 gr. 20.

N. 12. Centymetry. Miara używana przez wszystkich krawców i w magazynach bielizny.



Pani Weślew. w Tatarynówce Tygodnik Mód zaprenumerowaliśmy, należy się jeszcze złp. 5 o nadesłanie których upraszamy.

Pani Kamilli Rogow. Materje fijołkowe, szafirowe, brązowe i koloru czekoladowego w drobne paski czarne lub rzucik najmodniejsze. Na materjach czarnych paski bywają w guście tureckim.

Pani Rozalji Nie. Ponieważ guziki mają być stalowe przy staniku, i klamra powinna być do paska odpowiednia.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu, forma stanika i kaptura kapeluszowego, oraz Spis przedmiotów z tytułem za rok 1864.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 7 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 6 (18) Lutego 1865 roku.

JAN BAUDRY

PRZEZ

AUGUSTA VACQUERIE.

(*Dokończenie*).

AKT IV.

TENŻE SAM SALON

(*Dokończenie Sceny czwartéj*).

ADELA.

Ja nie żądam takiéj ofiary. Barentin zatrwożył mnię, lecz to przeszło. Słowa pana zupełnie mnie zaspokoiły. Wstyd mnie, żem się okazała tak dziecinną. Nie myślmy już o tem. Daj mi pan słowo, że nikt czuwać nie będzie. Zabraniam tego stanowczo.

BAUDRY.

A więc on powróci! kiedy?

ADELA.

Za chwilę.

BAUDRY.

Gdzie?

ADELA.

Tu.

BAUDRY.

On nie wié że cię tu znajdzie?

ADELA.

Wszak jestem żoną twoją.

BAUDRY.

Adelo, idź do biblioteki, zostaw mnie tu samego pomówię z nim.

ADELA.

Z pobłażaniem, wszak prawda.

BAUDRY.

Idź.

ADELA.

Wszystko wyznałam; pan go kochasz a więc wyrozumiesz jego szaleństwo. On prawie synem twoim, a to coś uczynił dotąd zobowiązuje i na przyszłość.

BAUDRY. (*niespokojnie*)

Idź.

ADELA.

Dobranoc. Pan tak byłeś dobry dla niego! (*wychodzi*).

BAUDRY.

Ona go kocha! nikczemnik. — Słyszę kogoś na wschodach. To on. O! to niegodnie. (*bierze lampę i wychodzi do przyległego pokoju. W téj chwili drzwi się otwierają na lewo, Olivier wchodzi*).

SCENA V.

OLIVIER (*sam po ciemku*)

Ilem uczynił. Ona dała mi to uczuć, kiedym mówił, że przyjdę i zbliżyła się do męża z wyzywającą postawą. Jeżeli ją zgubię, tem lepiéj!— Jestem nikczemny! Oh! jak ja cierpię! Udaje że śpi. Jasno w jéj pokoju. Więc mnie czeka. Tak, czeka przez bojaźń. Kto wié, może przez miłość. Ona mnie kocha, — wiem o tem. A ja chcę ją zgubić. Biedny Baudry! winienem mu wszystko, pięknież mu odpłacę! Gdybym wrócił? Zapóźno! za dalekom zaszedł aby się cofnąć. Trzeba mieć odwagę do końca. Czemuż mnie wypędził z domu swego? O miłość! nie zawsze dobrze radzi. (*puka we drzwi*) Nic! Adelo, Adelo! Wiem że nie śpisz. Widzę światło. Adelo! jedno słowo, a pójdę. Usłyszą mnie Adelo, jeśli nas spostrzegą, to przez ciebie. Tak lub nie? Czy otworzysz? Adelo! (*drzwi się otwierają, Baudry wchodzi z lampą w ręku*).

SCENA VI.

BAUDRY, OLIVIER.

BAUDRY.

Czego chcesz od panny Adeli?

OLIVIER. (*na stronie*)

Oh!

BAUDRY.

Myślałem że nie jesteś już w tym domu.

OLIVIER.

Zapomniałem....

BAUDRY

Nie kłam!

OLIVIER.

Panie!

BAUDRY.

Nikczemny! a więc to prawda? Powątpiewałem jeszcze! Nie śmiałem wierzyć takiéj niegodziwości. Twój czyn tak haniebny, że musisz mu przeczyć, musisz kłamać.

OLIVIER.

Nie! nie będę kłamał. Dosyć już téj obłudy. Tak jest, przyszedłem dla niéj!

BAUDRY.

Sądziłeś że ją tu zastaniesz?

OLIVIER.

Albo że ją sprowadzę.

BAUDRY.

Miałeś działać na nią przestrachem, zamącić jéj spokojność? a gdyby cię widziéć nie chciała, powstać wbrew jéj woli, narazić ją na potwarz, okryć hańbą!

OLIVIER.

Kocham ją. Kochałem ją nie wiedząc że pan o niéj myślisz. Nie przestałem kochać jéj w porę, oto cała moja zbrodnia. Przychodzę po to, żeby ją wydrzeć panu. Wiem że to źle; czy pan sądzisz że pochwalam mój postępek? Dziś wieczór poświęciłem się na wszystko, miałem jechać. Po coś mnie pan wypędził. Teraz namiętność wzięła górę. Ja nie poradzę na to, szał opanował moje serce, porwał je mimo woli. Zabij mnie jeśli chcesz, ja kocham ją. Przestałem być sobą, jam szalony. Nie ma tu dobroczyńcy, ani zobowiązanego, nie ma ani ojca, ani syna; jest młody człowiek....

BAUDRY.

O tak!

OLIVIER.

Jest młody człowiek i młoda kobieta, i miłość która wszechwładnie narzuca prawa swoje.

BAUDRY.

Młody człowiek, tak, czekałem na to słowo. Prawda, jesteś młody! Droga życia szeroko otwarta przed tobą; znajdziesz na niéj sławę, dobre imie, znajdziesz tysiące innych dziewcząt. Ja jednę ją miałem na ziemi, czemuż mi ją zabierasz? Czemu odbierasz mi jedyną radość serca, jedyną nadzieję przyszłości, ostatni kwiat potarganego życia mego? Nic cię nie powstrzymuję, nic, nawet przeszłość twoja? Także to umiesz być wdzięcznym. Nic nie zostawiasz temu, który ci dał wszystko. Sądziłem żem cię zmienił, lecz wychowanie żadnego nie wywarło wpływu. Zawsze ten sam, przychodzisz okraść mnie w tym samym domu, który ci otworzyłem. Jest młody człowiek!... mów, jakim człowiekiem stałbyś się bezemnie? Czy śmiałbyś spojrzéć na nią? czy śmiałbyś zbliżyć się do niéj, gdybym cię był nie podjął z barłogu? Tak, dziś wymuskany, wyćwiczony, wyglądasz na przyzwoitego młodziana. Nikczemnik! Jest młody człowiek! tak, tyś młody, ja mam lat czterdzieści sześć. Popróbujmy sił,— mówisz — dobre, przyjmuję walkę. Wystąpże sam z twoją młodością, ale wprzód, zdejm tę suknią, która do mnie należy, a zobaczymy czy moje zmarszczki, nie warte twoich łachmanów.

OLIVIER. (*z uniesieniem, przystępując do Baudrego*)

Panie! (*Baudry zakłada ręce i patrzy mu w oczy, Olivier odsuwa się.*) Masz słuszność, czuję teraz całą nikczemność mego postępku. Naznacz pan karę, przyjmę ją.

BAUDRY.

Doprawdy?

OLIVIER.

Nie błagam o przebaczenie, mógłżebym je przyjąć? Potrzeba mi zadosyć uczynienia. W téj chwili znienawidziłem sam siebie. Prawda, we krwi mojéj zostało coś z przeszłości. Mimo troskliwych starań twoich, nie odrodziłem się zgruntu. Upadałem często, a teraz upadłem najniżéj. Tak, wszystko co mam jest twojem; moja odzież, moje słowo, dźwięk głosu mego, moja myśl nawet, wszystko to do ciebie należy. Odbierz mi dary twoje, za które

tak źle zapłaciłem, odtrąć mnie tam zkąd mnie pojąłeś. Tego byś nie uczynił, ale ja to uczynię. Zrzucę te suknie, zstąpię z mojego stanowiska, zapomnę wszystkiego co umiem, sponiewieram się, przywdzieję brudny łachman, zatracę w sobię to wszystko co do ciebie należy. Odtąd zostanę włóczęgą, tak jak dawniéj. Jeśli nie dosyć na tem, wybierz sam karę chociażby najsroższą. Zgadzam się na nią. Oczekuję wyroku.

BAUDRY.

Dowiész się natychmiast. Idź do Barentina, obudź go i powiédz niech zaraz obudzi pana Bruel. Niech go prosi odemnie, aby tu mógł przyjść wraz z Adelą. A potem niech założy konie. Dowiész się od niego, o któréj godzinie odpływa statek do Anglii.

OLIVIER.

Idę.

BAUDRY.

Powrócisz tu razem z panem Bruel.

OLIVIER. (*na stronie*)

O! zobaczę ją raz jeszcze (*odchodzi*).

SCENA VII.

BAUDRY. (*sam*)

Ona go kocha! Prosiła mnie abym mówił do niego z pobłażaniem. Dziękowała mi żem był dla niego dobry. On młody! ma lat dwadzieścia dwa! Ludzie mówią: czyń dobrze a będziesz szczęśliwy. Czyniłem co mogłem. Podjąłem z błota biedne dziecko, obmyłem go, nakarmiłem, wychowałem na człowieka. Ten człowiek wydziera mi serce, depcze je własnemi stopami.—Ona go kocha! Cóż mi do tego? to istota szlachetna i dumna; dochowa mi wiary, wiem o tem; czyż kiedy liczyłem na jéj miłość? Nie; pragnąłem znaleść w niéj córkę, i będę ją miał. On spełni to co przyrzekł. Upadł znów, stokroć niżéj, bom ja rozbudził w nim sumienie. Zraniona miłość jątrzy serce człowieka. Ależ sam temu winien. Dziwnież to układa się życie. Ta miłość która nas gubi, mogła była uszczęśliwić nas wszystkich. Gdyby został mężem Adeli, kochany od niéj, mógłby być szczęśliwym i dobrym, a ja dokonałbym godnie mego dzieła. Trzebaż było, abym ja blizko pięćdziesięcioletni, pokochał właśnie też samą kobiétę. I otóż troje nieszczęśliwych! Wszystko więc zgasło! i wspomnienie dobrego czynu mego, i ta myśl błoga, która dotąd wspierała mnie w życiu bezbarwnem, i ta gwiazda która miała rozjaśnić mój pomrok; ona mi już nie zaświeci. O mój Boże! mój Boże!

SCENA VIII.

BAUDRY, BRUEL, ADELA potem OLIVIER.

BRUEL.

Cóż to się stało? jakżeś blady?

BAUDRY. (*na stronie patrząc na Adelę*)

Ona płakała.

BRUEL.

Powiedzże mi co zaszło?

BAUDRY.

Poczekaj chwilę.

OLIVIER. (*wchodząc*)

Panie, statek odpływa za godzinę.

BAUDRY.

Dobrze.

BRUEL.

Ale cóż się stało?

BAUDRY.

Rzecz bardzo prosta. Pan i ja kochaliśmy tę samą kobiétę.

BRUEL.

Moją córkę?

BAUDRY.

Tak jest, córkę twoją. A teraz sądźcie ze mną razem. Czy podobna abym ja i pan mogli się widywać potem, czem byliśmy dla siebie? Czy podobna abyśmy spotykali się w salonie lub na ulicy? Czy podobna aby panna Adela mogła patrzeć w oczy temu, który będzie cierpiał z jéj przyczyny? Czy możemy pozostać oba w jednym kraju?

OLIVIER.

Oddalę się natychmiast.

BAUDRY.

Jeden z nas dwóch powinien się oddalić. Mąż Adeli zostanie tu z nią. Jeden z nas dwóch pójdzie między obcych, jak liść porwany wichrem, podczas kiedy drugi zachowa wszystko, kraj, przyjaciół, rodzinę, słodki uśmiech ukochanéj małżonki. Tak być musi, wszak prawda?

BRUEL.

Tak być musi!

BAUDRY.

Czy wszyscy jesteście tego zdania?

OLIVIER.

Tak jest.

BRUEL.

Tak.

BAUDRY. (*do Adeli*).

A ty?

ADELA.

Tak być musi.

BRUEL.

Dziękuję ci Adelo.

BAUDRY.

On nigdy powrócić nie może?

ADELA.

Nigdy!

BAUDRY. (*na stronie*)

Jak ona go kocha! (*głośno*) W takim razie, ponieważ tak wszyscy osądzili, możemy się rozłączyć. Adelo, czy nic nie powiesz temu który odjeżdża?

ADELA.

Żegnam pana.

BAUDRY.

Czy nie podasz mu ręki?

ADELA.

O tak! (*podaje rękę Olivierowi*).

BAUDRY.

I do kogoż wyciągasz rękę?

ADELA.

Do tego który się oddala.

BAUDRY.

Ależ ja odjeżdżam.

ADELA.

Jakto?

BRUEL.

Co ty mówisz?

BAUDRY.

Mówię że te dzieci kochają się, i nie powinienem ich rozłączać.

ADELA.

Ja należę do ciebie.

BRUEL.

Moja córka jest twoją!

BAUDRY.

Nigdy!

OLIVIER.

Nie!

BAUDRY.

To nie żadna ofiara. Mógłżebym patrzéć na wasze cierpienia?

BRUEL.

Baudry!

BAUDRY.

Wszyscy się więc zgadzają?

OLIVIER.

Oprócz mnie.

BAUDRY.

Prócz ciebie! Wszak ją kochasz?

OLIVIER.

Kocham ją aż do niewdzięczności, wiész o tém. Ale nie chcę umrzéć ze wstydu. Nie przystaję.

BAUDRY.

Miałeś zupełnie poddać się mojéj woli.

OLIVIER.

Zbyt wiele pan już dla mnie uczyniłeś.

BAUDRY.

Powinienem dokonać dzieła.

OLIVIER.

Gdyby nie ty, miałżebym serce?

BAUDRY.

Na toż ci dałem serce, by je zakrwawić bólem?

OLIVIER.

Potrzebuję cierpieć, nie przyjmę twéj ofiary.

BARENTIN. (*wchodząc*)

Panie, statek odpływa za chwilę.

OLIVIER.

Jestem gotów. (*Barentin wychodząc*).

BAUDRY.

Skoro odjeżdżasz, jadę z tobą.

OLIVIER. (*rzuca się w jego objęcia.*)

Żegnam cię!

BAUDRY.

Chcesz tego?

OLIVIER.

Tak, chcę! (*wydziera się z rąk Baudrego i wychodzi.*

BAUDRY.

Daléj w drogę!

BRUEL.

Baudry.

ADELA.

Panie!

BAUDRY. (*do Adeli*)

On powróci bądź pewna!

KONIEC.